ROZMAITOŚCI.

Dnia 1. Lutego **N[er] 5.** **Roku 1854.**

Szały taneczne

w cztérnastym i pietnastym wieku.

Powiada kronika: Gdzieś we dwadzieścia lat po strasznéj w Europie zarazie morowéj, a około lata 1374, pojawiły się w Akwizgranie tłumy luda, mężczyzn i kobiét dziwnego usposobienia, przytem tyle zaraźliwego jak czarna śmierć sama co niedawno przygasła. Wlekli się popod pachę rojami, roztaczali kołłem po ulicach i placach i wyprawiali tańce w obec zbiegowiska ludu bez wstydu i z takiém szaleństwem że im hamulca nie było, i tylko ostateczne wycieńczenie sił z nóg ich obalało. Dopiéroż nastawały jęki, wrzawy, błagania by ich ratować, a sam ratunek tak był dziwny, tyle szalony co i sama choroba. Na miłość boską, wołali tarzając się w boleściach, na miłość boską, tratujcie, odeptujcie nam brzuchy, duście kolanami, bo pęka, już! już! Ale bo prawda że wysilenia taneczne wyprężały im brzuch jak bęben, ciało rozdymało się w kształt beczki, więc też litościwi ludzie nie leniwi w pomocy, deptali, kopali, tratowali im ciało, odęte brzuchy krępowali taśmami, a chorzy ocucali się z nieprzytomności swojéj, i dopiero pojmowali że te żałoby wychodziły im z ust snadź mimo wiedzy.

O rozmyślne też postępowanie nikt ich posądzać niemógł kto się tylko przypatrzył; w czasie napadu dusza tancznika widocznie oderwaną była od świata, oczy w słup zawrócone nic nie widziały, ucho jakby głuche nic nie słyszało, a umysł zapewne musiał im podsuwać obrazy, może i istotne postacie duchów, bo ich wywoływali po imieniu, z nimi rozmawiali, i migi stroili jak gdyby z nimi samosób pląsali. Niektórzy gdy z szału ochłonęli, opowiadali widzenia i urojenia swoje; jednemu się wydawało że brnie w potok krwawy coraz głębiéj i głębiéj, a w obawie by nie utonął skakał co mógł najwyżéj; innym wydawało się że niebo widzą otwarte, zbawiciela oglądają na tronie i Matkę Boską widzą; nie zbywało i na tych którym się nasuwały widma i upiory, bo panująca wiara odbija się zawsze nietylko w utworach kunsztu ale i w szaleństwach wieku swego.

Szał taneczny był chorobą wieku, i gdzie się zupełnie rozwinął, przebywał napady apoplektyczne. Pacyent padał

bez przytomności, zasapywał się, toczył z ust pianę, potém zrywał się i wpadał w taniec najdziwaczniejszy, najdzikszy, ciało wykręcało się w najokropniejsze postacie. Bezwątpienia zachodzić musiała pewna różnica pod wpływem czasu i miejsca, ale kroniki ówczesne tego nie piszą, bo publicystyka z tych czasów równie skromna jak i wiadomość lekarzy z owego wieku splatała wszystko co się działo z podmową i z natchnieniami duchów goszczących po świecie na zgubę i urągowisko biednego człowieka.

Ale choroba szła jak zaraza morowa. Ledwo się zjawiła w Akwizgranie, gdzieś około S. Jana, już-ci jak się wyraża kronika: rozdmuchali ją czarci i na Niderlandy całe. O jednéj porze pojawili się świętojańscy tancerze, jak ich nazywano, w Lüttichu, w Utrechcie, w Tongern i po wielu innych miejscach Belgii, a każdy z nich miał głowę uwieńczoną w kwiaty, brzuch opasany szeroką taśmą ażeby padłszy w zemdlenie, już i pomoc była pod ręką. Miłosierni ludzie zasadzali im kije za pas i okręcali tém lepiéj opaskę. Pomagało to dosyć, ale lepiéj służyło kopanie nogami i tratowanie, a na téj przysłudze nie zbywało, bo widzów zawsze bywało pełno, lud zbiegał się gromadnie i z zachwyceniom przypatrywał się łamaniom zaklętych tancerzy. Wreszcie dziwactwa te zaczęły świat cały przerażać, bo liczba tancerzy coraz rosła, a zbiegowiska coraz się mnożyły.

Rozgościli się po wsiach i miastach, poobsiadali place i kościoły, i padła trwoga na spokojnego mieszkańca. Przerażeni uciekać się zaczęli do łaski Boskiéj, odprawiano nabożeństwa, modły wznoszono do Nieba i Świętych by odwrócić tę plagę ręki czartowskiéj, o czém ani wątpiono. W Lüttichu wzięli się księża do egzorcyzmów, i wszelką mocą silili się stawić zaporę zagrażającemu ich powadze niebezpieczeństwu, bo opętani tancerze w pląsach miotali klątwy i potwarze na duchowieństwo, a i osobiście się niekiedy targnęli. Do tego stopnia pozastraszali się ludzie i władze, że wydano rozporządzenie ażeby szewcy robili trzewiki jak przed rokiem 1350 tylko z pyskami, gdyż nowomodny but z nosem raził opętanych i wprawiał w mocniejsze szaleństwo. *) Bardziéj niż but z nosem, raził ich widok czerwonego koloru, czego także i rozjuszony źwierz jak wiadomo nie cierpi, tylko że u świętojańskich tancerzy musiało to coś się z obrazami imaginacyi wiązać, a ztąd i na zrażone nerwy wpływać. Bywali między nimi niektórzy co nie mogli znieść widoku płaczących osób, i wiele innych podobnych osobliwości dostrzegano.

Duchowieństwo przekonane było, a po części miało słuszne powody, że wszyscy opętani byli zwolennikami jakiejś tajemniczéj sekty, więc zapobiegali wszelkiemi sposobami ażeby zaraza nie przeniosła się w klasy zamożniejsze. Dotąd splatały się kołła tylko z biedactwa, dostrzeżono między nimi wprawdzie i nieco z osób zamożniejszych nawet i mni-

---

*) O trzewikach z nosami obacz na końcu.

chów, ale iż ci znani byli światu z lekkomyślności, więc mogła ich nowość zaślepić i podać rozpuście szatańskiéj. Co bardziéj utrzymywało owe przekonanie, że wielu z opętanych, opamiętawszy się pod wpływem egzorcysty, wyrzekali jawnie: „o gdybyście byli jeszcze z kilka tygodni czartom pozwolili, a byliby opętali ciało i możnych panów i książąt samych, a przez nich i duchowieństwo zniszczyli.“

Takie i tym podobne pogłoski rozchodziły się z ust do ust, i każdy im wierzył; zatém tém gorliwiéj silono się zachować lud prosty od skazy, jakoż i udawało się dosyć pomyślnie, bo w czternastym wieku egzorcyzacya miała jeszcze powagę, w sercach żyła wiara, a może też choroba sama się przesiliła, dosyć że po dziesięciu, jedenastu miesiącach nie było w Belgii już tancerzy świętojańskich. Ale co jest złe to się zakorzenia, i kronika pisze: ani je młotem nie zabić, ani obcęgami nie wyrwać.

Bo o tym samym czasie kiedy Belgia pracuje jakby plagę uśmierzyć, a w miesiąc po piérwszém zjawieniu się tancerzy w Akwizgranie, pojawia się szał tancerzy w Kolonii, gdzie pięciuset opętańców występuje, a późniéj nieco w Metz gdzie ich do tysiąc i jednego sta po ulicach naliczono. Prawdziwa była zaraza. Wieśniak porzucał pług i zagrodę, rzemieślnik warsztat, baba kądziel i gospodarstwo, wszystko tłoczyło się w kołło szalone, a miasto słynne z przemysłu, zamożne w dostatki stanęło widowiskiem zgrozy, boć wkrótce i rozpusta wszczepiła się w szeregi, a żebractwu i łotrowstwu wyścieliła się droga łatwego zarobku. Co gorsza, dziewczęta i chłopcy wykradali się rodzicom z pod dozoru, słudzy porzucali panów, ażeby się napawać rozkoszą tańców świętojańskich, i wkrótce sami się świętojańszczyli.

Inni znowu widząc, że to się opętanym nie źle działo, gdyż litość hojnie ich opatrywała, więc z próżniactwa i ze swawoli zaczęli opętanych naśladować, i do niepoznania tak doskonale i w gestach i wykrętach i omdleniach, że sobie tém otworzyli jeźli nie bogate, przynajmniéj wesołe źródło zarobkowości; przesuwali się z miejsca na miejsce szukając dochodu, a tém samém szerzyli zarazę, bo kto jest usposobionym, temu czy pozór czy istota wszystko jest jedno, przylgnie zawsze do tego, do czego popęd czuje.

Gdy tedy ani usiłowania duchowieństwa, ani starania lekarskie nie wiele pomagały, wzięto się szczerze na ostro; tracić? — ludzkość nie pozwalała, ale pomagała chłosta, i przępędzanie z miejsca na miejsce. Trwało to jednak przeszło cztéry miesiące, nim ich w tamtych miastach uchodzono. Cóż kiedy zaraza zarazą, a wiek czternasty i pietnasty tyle jéj sprzyjał, bo wtedy ludzie jeszcze nie ten rozum mieli co dzisiaj; ale iż w dziejach ludzkości karta szaleństwu zawsze otwartą, więc też szaleńcy tego rodzaju odzywali się jeszcze i w szesnastym i siedmnastym wieku, i nachodzili miasta gdzie ich wprzódy nie bywało, tak iż wyraźnie się zdawało, że téj choroby już nie wyplenić.

Sztrasburgska kronika zapisała wierszami napad taki w roku 1418, a sens tych wierszów powiada: „kilkaset bab i chłopów zaczęło tu w Sztrasburgu dzień i noc tańczyć i skakać do upadłego po rynku, po ulicach i zaułkach, a plagę tą nazywano tańcem Ś. Wita.“ Ale szlachetny Sztrasburg zajął się leczeniem tych osób w sposób przyzwoity. Rada miejska jęła się sprawy po ludzku, podzieliła opętanych na osobne hufce, hufcom dodała nadzorców ażeby im się krzywda nie działa, a może i dlatego ażeby w dobry sposób powściągnąć szaleństwo. Potem oprowadzano ich jak było można pieszo albo na wozach, po świętych miejscach, do kaplic S. Wita w Zabern i Rotensztejnie, tu słuchali nabożeństwa, a po mszy świętéj chodzili w procesyi w około ołtarza, dozwalano im z swoich jałmużn czynić małe ofiary, i wielu też uderzeni widokiem świętości, nabożeństwa i uroczystością, odchodzili od swego szaleństwa.

W rzeczy saméj skruszenie serca i wzniesienie ducha do Boga pod wezwaniem świętych, uśmierzało znacznie obłąkanie umysłowe tych ludzi; a liczono w rzędzie świętych czternastu patronów, między nimi cudowną łaską słynęli Ś. Wit, błogosławiony chłopczyna z Sycylii, który w roku 303 poniósł męczeńską koronę, i Ś. Jan Chrzciciel może dlatego że i z jego żywotem zespalał się taniec córki Herodyasza. Imię Ś. Jana wzywają jeszcze po dziś dzień w podobnych przypadkach Abissynowie, jak świadczy Nathanael Pearce w podróżach swoich które po Abissynii odbywał od roku 1810 do 1819. Dziwiłoby nas dlaczego właściwi lekarze nie zastanawiali się nad tą słabością, która przez kilka wieków srożyła się i trwała, gdyby nam wiadomém nie było uprzedzenie ówczesne że szaleństwo nie od ludzi, ale od duchów pochodzi, że zdrożności ludzkie działy się pod wpływem gwiazd za podszeptem złych duchów, zaczém też środki naturalne tu mocy mieć nie mogły, należało wszystko polecić Bogu i poruczyć szafarzom łask nadnaturalnych, których powiernikami byli ludzie pobożni i świątobliwi.

Z postępem nauk i oświaty, tyle przynajmniéj pociechy, że wiemy iż wszystko co się dzieje, z naturalnych przyczyn wypływa, a doświadczenie wyraźnie nauczyło, że słabości nerwowe są zaraźliwe. Nieszukając daleko, wiemy że byle jeden w towarzystwie ziewać zaczął, wkrótce przy nudotach wszyscy ziewają. Gorzéj kiedy zachodzą napady uniesienia, zachwycenia, albo jak-to po zborach Metodystów szkockich się wydarza, ataki przebóstwienia duszy, w chwili kiedy który z grona zawoła: „Oto droga zbawieniu!“ i wpadnie w zachwycenie. Za przykładem wtedy połowa sali pada w zadumanie, drżączka porywa, przytomność rzeczywistości znika, i zapał zgłupiałości niebawem całą parafię nawiedza. Podobne wypadki zapisują co rok nocne zbory na wolném polu (camp meetings) Metodystów amerykańskich; a kiedy dziś światła, rządna, gospodarna Ameryka tak dalece jest zarazie nerwowéj przystępną, godzi się ubolewać nad ludzkością czternastego wieku, któ-

ra jak wiemy, nie przyświecała zbytecznym rozsądkiem.

Że choroba przygasała, to nie dowód wzrostu mądrości, ale tego raczéj że się ludzie z nią oswoili; gdy nowość spowszedniała, nie raziła już nerwów, i drgania zaumierały same od siebie. Nazywali to przesileniem; tylko że te przesilenia trwały długie, długie lata, a szły pokotem z miejsca na miejsce tak, że się aż za wiek piętnasty, acz w mniejszym stopniu w Niemczech dobląkały. Lecz że ta słabość nie znikła ze wszystkiém, owszem że jeszcze dziś tu i ówdzie wybucha, są świadectwem tańce Tarantuły sycylijskiéj, i dziwactwa abisyńskie.

(Dokończenie nastąpi).

STRAŻNICA MORSKA.

Trajedya w dwóch aktach, wierszem polskim z Houwalda.

Przekład p. N. H.

(Ciąg dalszy.)

Walter.

Z twą miłością w parze
Byłbym skończył zamiar święty,
Bo chociaż w gniewie zawzięty
Mniej-by zważał na zaklęcie,
Na me prożby i błaganie,
Gdybyś mu padła w objęcie;
Oprzeć-by się nie był w stanie.

Dorota. *(coraz czuléj).*

O Walterze!

Walter.

A jeżeli
Wśród nadziei, chociaż z trwogą
Nieszczęściami skołatana,
Moja matka ukochana
Pomimo wodnych topieli,
Przybędzie tu morza drogą —
Na jéj łono w zachwyceniu
Będę mógł się śmiało rzucić,
I zawołać w uniesieniu:
„Matko! zaprzestań się smucić,
„Oto jest anioł pociechy,
„Co ci zjednał przebaczenie
„Od męża za dawne grzechy,
„Któremu ja ocalenie
„Winien życia, co miłością
„Zajął całą duszę moją
„A po ukończoném dziele
„Chcę być teraz córką twoją,
„Boś ty moją mój aniele.“
A matka rzecze z radością:
Córko droga!

Dorota.

O gdzież ona,
Bym w jéj objęcie rzucona.

Walter. *(wyciąga ręce).*

O, Doroto!

Dorota. *(wpada w jego objęcia).*

O Walterze!

Scena 8.

Ciż — Ulrych. *(kiedy kochankowie ściskają się, wchodzi Ulrych, gasi pociągnięciem sznuru lampę i stoi cicho w milczeniu wsparty na arfie).*

Walter.

Wiesz-że co to kochać szczerze?

Dorota.

Tak jest.

Walter.

Teraz jesteś moją!
Bo przeczucie mówi we mnie,
Iż ty mnie kochasz wzajemnie.

Dorota.

Kocham i na wiekim twoją,
Bo chociażbym nawet chciała
Zataić, nie jestem w stanie,
Iż od dawnam należała
Już do ciebie.

Walter.

O kochanie!

Dorota.

O ja czuję w całéj mocy,
Że z marzeń wiosennéj nocy
Przyszłam do rzeczywistości,
A matka moja kochana,
Która mnie budząc co rana
Przy mojéj kolebce stała
I wzrokiem nieba szukała,
Była obrazem miłości.

Walter.

Precz sny lube, wszak ocknienie
Piękniejsze jest niż marzenie;
Wszak cię trzymam na mém łonie,
A ogień, co z ócz twych płonie
Na mojego nieba szczycie,
Tli jak słońce na błękicie;
Lecz ojciec.....

Dorota.

O, nie troszcz się o to...
(Słychać przez tubę głos Kaspra).

Kasper. *(przez tubę).*

Lampy pogasły Doroto!

Dorota.

Ojciec gdy nam spojźrzy w oczy,
Pozna co to miłość znaczy
Sam nasze ręce zjednoczy
I pobłogosławić raczy,
I pozwoli na zamęźcie,
Widząc swego dziecka szczęście
Nieposiędzie się z radości;
Bo niezna takiéj miłości,
Jaka w naszych sercach żyje.

Walter.

Czujesz, jak to serce bije?
Przyłóż na nie ręce twoje,
By pierś nie rozpękła w dwoje; —
Ojcze, co panujesz w niebie,
Tu na świadka biorę ciebie,
Póki gwiazda promienista
Ziemię wśród nocy oświeca,
Póki miłość zacna, czysta,
Cnotę pośród piersi wznieca,
Póki twoje gwiazdy stoją,
Tak, — wiecznie ty będziesz moją,
Przysięgam ci na to hasło.

Kasper. *(przez tubę).*

Wasze światło w górze zgasło!

Dorota.

Któż to woła na nas zdala?

Ulrych.

Każde światło czas wypala,
Równie w sercu jak na niebie.

Dorota. *(spostrzega że światło pogaszone, załamuje ręce i rozpacza).*

Boże! lampy pogaszone!
O nieszczęśni, co w potrzebie
Żeglując tu w naszą stronę
Za światłem tych lamp patrzycie,
A nie widząc światła w dali
Pośród burzy, pośród fali
Doczesny żywot kończycie,
Któren ciężу na méj głowie,
Ach, cóż na to ojciec powie?

Walter.

Poco próżne skargi niecić,
Chodźmy lampy znów zaświécić.

Dorota.

O, to są próżne nadzieje,
Wiatr który dmie z całéj mocy,
Nasze światło zaraz zwieje.
Pójdę ojca szukać w nocy
Bym do jego nóg rzucona
Wybłagała przebaczenie
Za te wielkie przewinienie,
By nie przeklinał godziny,
W któréj byłam ci u łona.

Walter.

Chodźmy!

Dorota. *(wybiega za nią Walter).*
Ojcze mój jedyny!

Ulrych. *(sam) (stoi oparty na arfie) po krótkiém milczeniu patrząc w górę:*
Na niebie gwiazdy pogasiłeś Boże
I noc osiadła na wzburzone morze,
Po cóż więc człowiek ma swe lampy palić,
On odwiecznego przeznaczenia koła
Swą słabą ręką zatrzymać nie zdoła,
Po co się próżno zuchwalić!
Zgaśnijcie lampy, bo nazbyt zuchwale
Świécicie w waszym obłędzie;
Dziś żeglarz drogi nie znajdzie przez fale,
Noc niechaj będzie.

(Koniec aktu I).

(Dalszy ciąg nastąpi).

Co w industryi popłaca.

Wielu uczonych pomaga sobie w traktatach dzieląc industryę na produkującą i nieprodukującą; stanowczą jest u nich piérwsza, dlatego że miewa przedmiot wyrobu stały, widoczny, który ważyć i mierzyć da się. Nam się widzi że przemysł przemysłem czy rzecz po nim zostaje czyli niknie, czy przedmiot widoczny czyli urojony Pokojówka która się cały dzień krząta a nic takiego nie stawia coby statystyk mógł w tabelę wyrobów gospodarskich albo fabrycznych zaciągnąć, nie jest dlatego przecież nie produkująca. Owszem produkuje i bardzo produkuje domową wygode, niewidome uczucie przyjemności, które każdy zna i ceni chociaż je nie można ani szalą odważyć, ani łokciem przemierzyć. Cieśla może się z robotą swoją obnosić, może ją przesłać potomnym na pamiątkę zręczności swojéj; ale wdzięk muzyka umiera, gaśnie i śladu nie zostaje po tonach które wstrzęsały duszę słuchacza. Mielibyśmy dlatego przemysł muzyka nazwać nie produkującym że po odegraniu nic nie zostało? wszak produkował rozkosz! a chcielibyśmy wiedziéć jaka jest dla przemysłu meta, jeźli mu odmówimy przyjemność i rozkosz?

Bliżéj może prawdy staniemy jeźli zechcemy uważać industryę ze względów na zewnątrz i wewnątrz, i powiemy jedna jest materyalna druga umysłowa. Kwiatek ma widomy kształt, kolor; — ale ma także niewidomy zapach; tak też jest i w industryi. Jest jedna industrya która sie z wyrobów swoich wywieść, wykazać może, jest druga któréj wyroby tylko uczuciem dają się rozpoznać i ocenić; ale z tém wszystkiém jedna i druga jest rzeczywistą industryą, równie produkującą — byle jéj tylko ludzie pragnęli. Że dziedzina téj industryi, które uczuciem mierzymy, jest szeroka, o tém ani wątpić, bo obejmuje wszystko co składa dostojność, przyzwoitość i znamienitość w społeczeństwie ludzkiém.

Wprawdzie czasu potrzeba nim człowiek pojmie i oceni należycie godność i znaczenie industryi, gdyż czujemy potrzebę pożywienia wprzódy niż potrzebę muzyki albo poezyi, czujemy potrzebę odzieży wprzódy niż potrzebę książek, domek i sprzęcik idą przed obrazem i statuą; ale dziwna że właśnie to co jest najpotrzebniejszém, najgorzéj popłaca. Ze wszystkich industryi, które się potrzebami naszemi opiekują, jest rolnictwo najpiérwszém, rolnik najpiérwszy w rzędzie tak zwanéj industryi produkującéj, co do płacy stoi ostatni, wszyscy inni idą przed nim; on jest posadą społeczeństwa, najpracowitszy, co do ciała najsilniejszy, ale najuboższy co do grosza, i najmniéj oswojony z wygodami życia. Ten co ludziom strawę daje, gorzéj jest płatny, niż ten który miskę podaje gdzie strawa; wszelki rodzaj industryi popłaca lepiéj niżeli przysposobienie żywności.

Wszędzie industrya, która tylko surowy produkt wydaje, stoi w cenie niżéj od industryi która nadaje formę temu co spożywamy. Piekarz jest lepiéj płatny niż oracz albo siejbiarz, krawiec lepiéj niżli tkacz, może dlatego że praca ich łacniéj w oko wpada i każdy ją osądzić może. Zawsze koniec ma

w oczach ludzkich większą wagę niżeli początek, gdyż przedstawia widok tego co zręczność, co zdolność dokonać umiała, i gdyby rolnik płody swoje mógł lub chciał w kształcie chleba na targ przywozić, stałby zaraz o jeden stopień wyżéj niż teraz stoi, gdyż-by popadał pod sąd publiczności, któremu teraz wprawdzie nie ulega ale zato i tę powagę traci jaką się uzyskuje z wyroku publicznego.

Ta krytyka, ten sąd publiczny czynią także, dlaczego majster wyżéj stoi niż czeladź. Że chleb zły, czeladź się śmieje i nie obawia się skarg naszych bo jéj nie znamy. Majster odbiéra chwałę, naganę, bo on za dobroć odpowiedzialnym. I chociażby tylko był jedynie przedsiębiercą nienależnym do cechu, zawsze będzie lepiéj płatnym, bo społeczeństwo ludzkie zawsze wyżéj ceni zręczność niż pracę, do któréj prócz siły ciała nic nie potrzeba. Tylko że przy zręczności tego potrzeba ażeby ją ludzie pojęli; cała zręczność bez tego pojęcia litości warta, i dlatego to tylu genialnych ludzi z głodu umiéra, podczas gdy czeladź rozpustuje i hula. — A prawo to na cały świat; słucha go każdy mimo wiedzy.

Kupiec należy, jak-to mówią, do nieproducentów, — przepuszcza tylko cudze wyroby, ale zręczność jego w dopatrywaniu gdzie te wyroby są przydatne, a gdzie nie przydatne, ta zręczność popłaca lepiéj niż praca wyrobnicza. Kupcy w istocie składają najbogatszą klasę w obywatelstwie, może nawet i wpływ największy, bo zajmują pośrednie miejsce między klasami robnemi i nierobnemi, bo zostają obóstronnie w najściślejszych związkach, a poniekąd posiadają i usposobienie jednych i drugich.

Słowem, gorzéj płatne są wyroby surowych płodów niżeli wytwory; gorzéj płatną jest cielesna praca niżeli zręczność; zręczność w zamianie płodów lepiéj na groszu wychodzi niżli zręczność w umiejętnościach i kunsztach; lecz zręczność w umiejętnościach i kunsztach odnosi najwyższą sławę osobliwie u potomnych. Koniec końców w industryi zręczność najlepiéj popłaca.

Moda trzewików z nosami wyszła z Francyi; w Niemczech pojawiła się w czternastym wieku, a podlegała pewnemu prawu jak do godności osób. Księciu wolno było nosić trzewiki z nosem na półtrzecia stopy, baronowi nie godziło się jak tylko na stóp dwie, a u szlachcica nie więcéj jak na półtora. Przychodziło do zgorszenia i Rada Zurychska zmuszona była w r. 1370 wzbronić przesadę nosów, dodając że zadzierają wszystko; a gdy tego niesłuchano, wydano w r. 1460 stanowczą miarę na nosy dla szewców, i pod rygorem grzywien obowiązano stale jéj się trzymać. Równie i duchowieństwo ze swéj strony potępiało tę modę. Biskup Bamberski wymógł w r. 1470, że Rada Norymberska zupełnie w swojém mieście zniosła trzewiki z nosami; ale niewiadomo czy skutkował zakaz, bo nie o same nosy chodziło, ale o ozdoby na które się przytém sadzono. Kobiéty oprawiały je w złoto i śrebro, powlekały haftami, wykładały perłami, a przy nich szła wąziutka przyszewka przytrzymująca nóżkę w jedwabnéj pończosze na sposób naszych rękawiczek, ażeby mógł wystawać każdy palec z osobna w pierścieniu sutym od złota i dyamentów.

Pracuje teraz Anglia jakby usunąć srogi obyczaj w Pendżabie tracenia nowo-narodzonych dziewcząt, obyczaj między dostojniejszemi rodzinami tak zadawniony, że już kilkanaście generacyi przeszło, a jeszcze i jedna córka się nie uchowała u panów z plemienia Sikhów. Obyczaj ten zakradł się z obawy dzielenia majątku za córką na cudze głowy, a w chęci utrwalenia dziedzictwa w familii własnéj. Teraz nawet obyczaj tracenia córek zawodzi się i między Mahometany i inne plemiona Hindu, a kasta duchowna Bedów niecierpiąca u siebie potomków żeńskich propaguje i rozkrzewia ten obyczaj srogi. Dzieje się to z niejakimś obrzędem uroczystym. Rodzina cała czeka za drzwiami wyroku mamki, czy się chłopiec czyli dziewczyna urodziła; dziewczęciu zasmarowuje usta ciastem (gur), do rączki wkładają sznurek bawełniany i spiewają przytém:

Gur khaien, powni kutlin,
Ap na ajin: bhaya ghullin.

Co znaczyć ma: „karm się gurem, prządź kądziółkę, ale odchodź i za siebie przyszlij chłopca.“ Lord Dalhousie obecnie gubernator w Indyach zajął się gorliwie, by wykorzenić nieludzkość tego obyczaju, i na zgromadzeniu w Amricir świętém mieście koło Lahory wymógł postanowienie, że zaprowadzone zostają metryki rodu z ścisłém oznaczeniem płci.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*